Do № 112 porannego. Sobota 25 kwietnia 1931 r.



Rys. S. Norblin.

Jabłonie kwitną.

Jabłonie kwitną już w sadzie,
kwitną jabłonie!
Wiosenka w kwiecie ich kładzie
przesłodkie wonie...

Jabłonie kwitną! Wiosenka
przyszła w zagrody!
Taka ci na niej sukienka,
jakby na gody!...

Wiatr płatki strąca zazdrośnie
i muska skronie...
Tak cicho, słodko, radośnie... —
— Kwitną jabłonie!

Alina Kwiecińska.

Zabawa w zielone

Świat jest jeszcze szary i bezbarwny, słońce skąpe zsyła na ziemię promienie i tylko gdzieniegdzie, bardzo nieśmiało wysuwają się z ziemi młode trawki i listeczki — pierwsze pędy wiosenne! Cieszą się niemi dzieci i starsi, bo są bardzo rzadkie i oczekiwane bardzo długo. Wszystko przecież, na co długo czekamy i co zjawia się nagle, cieszy nasze serca i dusze.

Wtedy, gdy trudno jeszcze o świeże trawki i listeczki, lubią dzieci bawić się w zielone. Wszak znacie wszyscy tę zabawę? Chodzi o to, aby każdy miał przy sobie w kieszonce, albo za pasem, bodaj ździebełko tycie — tycie wiosennego listeczka i gdy nas kto zapyta znienacka: „A zielone?" — żeby mógł zaraz się takim świeżym listeczkiem pochwalić.

Zkąd jednak wziąć tych cennych zielonych listeczków, jeśli gałęzie na drzewach ogródka jeszcze są nagie zupełnie i skostniałe z chłodu, i tylko na krzakach agrestu pokazały się pierwsze drobne, nikłe listeczki?

Krzaków zaś agrestu niema przecież na skwerach miejskich i w miejskich ogrodach, lecz tylko w sadach wiejskich. Jest to więc zabawa dla dzieci, mieszkających na wsi. Jak ma sobie więc z tem poradzić Jureczek, któremu Zygmuś zaproponował zabawę w zielone, Jureczek, który mieszka w dużej kamienicy miejskiej i nie widzi z okien swego mieszkania ani jednego, mizernego bodaj drzewka, lub krzaczka? Co innego Zygmuś, który mieszka na kolonji, w białej willi, otoczonej małym ogródkiem.

Przecież o tem, aby z doniczek mamusi, stojących na oknie, zerwać choć jeden maleńki listeczek, nie może być nawet mowy! Coby na to powiedziała mamusia, żeby jej kochane azalje, fuksje i pelargonje ogołacać z listeczków! Nigdyby się Jureczek nie odważył tego zrobić!

— Wiem! — zawołał z radością po dłuższym namyśle. — Musi się nasz kanarek ze mną podzielić swoją sałatką!

Kanarek Jureczka był bardzo łakomy, o czem wszyscy w domu wiedzieli. Siemię w korytku dziobał, jak z łaski, ale za to, gdy mu ktoś między pręciki klatki wcisnął kawałek cukru, lub biszkopta — toż to była uciecha! Znała grymasy kanarka (nazywał się Kubuś) kucharka Rózia i zawsze mu wsuwała do klatki listeczek sałaty, którą przynosiła z miasta w koszyku.

— Masz ty, grymaśniku! — mówiła. — Taki sam z ciebie łakomczuch, jak nasz Jureczek!

— Dasz mi połowę twego listka? — spytał Jureczek, zbliżając się do klatki.

— Ćwir! ćwir! ćwir! — zaćwierkał Kubuś — wskakując na wysoki pręcik. Zabieraj sobie swój listeczek i zmykaj prędko, bo mam ogromny apetyt na kawałek jabłuszka, który mi ofiarowała poczciwa Rózia, a póki stoisz przy klatce — boję się zabrać do uczty.

Jureczek zrozumiał co powiedział kanarek, bo przy dobrych chęciach można zawsze zrozumieć mowę ptaków i drzew, można także wiedzieć o czem szumi wiatr i woda.

Ucieszył się i wyciągnął szybko zielony listeczek z pręcików klatki.

Czas był wielki, bo właśnie do drzwi mieszkania dzwonił Zygmuś.

— A zielone? — zawołał z tryumfem, wyciągając do Jureczka zielony listek, zerwany z żywopłotu, otaczającego ogródek białej willi.

Jurek z tryumfem pokazał mu listek sałaty.

— Zkąd go masz?—zdziwił się niezadowolony Zygmuś, który był pewien wygranej.

— Od kanarka! — zawołał uradowany Jureczek.

Zygmuś jednak nie dał za wygraną.

— Czy ja się bawię w zielone z kanarkiem, czy też z tobą? — zapytał ze złością. Na twojem miejscu wstydziłbym się odbierać kanarkowi jego sałatkę!

Jureczek już, już miał ochotę się rozpłakać, gdy do pokoju weszła mamusia.

— Zaniechajcie lepiej dzieci zabawy w zielone!—powiedziała.—Jest tyle innych, odpowiedniejszych gier i zabaw. Bo czyż należy odbierać drzewom i krzewom ich pierwsze listeczki, które z taką radością otwierają się do dawno upragnionego słonka? Zastanówcie się nad tem! Każdy listek, to jakby na świecie kawałek wiosny, tej wiosny, na którą starzy i młodzi czekają przez zimę z taką tęsknotą! Zrywając te pierwsze, nieśmiałe pędy, zabijamy naszą kochaną, uśmiechniętą, zieloną wiosenkę. Poczekajmy lepiej, aż świat się zazieleni, aż ogrody, łąki i lasy odzieją się w zielone szaty... Wtedy zrywać będziemy mogli kwiaty, które stworzył Bóg na to, by cieszyły ludzkie oczy i rozweselały szare, ludzkie życie...

Z. Rabska.

CHODAKI.

Spotkały się na śmietnisku
Dwa stare chodaki:
— Wcaleś jeszcze piękny, kumciu!
— Tyś też jaki taki!

Jeno nie wiem, czemu waćpan
Tak szpetnie podarty?
Obcas cały pokrzywiony...
Cóż znowu za żarty...

— A acan niby piękniejszy? —
Drugi w gniewie pyta —
Czubek waści wciąż pić woła;
Łata źle przyszyta!

— Choć mnie acan za nic ma już,
Przygania, żem stary —
Pokazałbym, co ja umiem,
Jeno — nie mam pary!

Ja też tu bez pary jestem,
Lecz to mi nie szkodzi.
Nikt po świecie mnie nie gania,
Nikt we mnie nie chodzi...

Wtem z haczykiem zakrzywionym
Przyszedł śmieciarz stary,
Wyciągnął w górę chodaki
I — przerwał im swary.

Obejrzał je zlewa, zprawa...
Jeszcze wcale godne...
Przydadzą mi się na błoto,
Na dni zimy chłodne...

Nim spostrzegły się biedaki,
Już w nich śmieciarz chodzi...
— Znowu w służbie, mój mościuniu?
— Znów w parze dobrodziej? —

Z. Rostafińska - Choynowska.



Rys. M. Wisznicki.

Wspomnienie.

Było to wczesną wiosną; dzień był pogodny, ciepły. Biegaliśmy po ogrodzie weseli, szczęśliwi, mieliśmy w sobie radość życia, nadzieję ciepła i kwiatów.

— Lato już pachnie! — wołaliśmy, skacząc i spoglądając ku jasnym niebiosom. — Lato pachnie!...

Oglądaliśmy krzaki, czy nie wypuszczają pąków, nachylaliśmy się nad kępkami listków, szukając pierwiosnków. Naraz ujrzeliśmy prześlicznego ptaszka.

Maleństwo okryte było jakby płaszczykiem z piór purpurowych i miało króciutki ogonek.

Ptaszek pokiwał główką, zawołał: cir, cir, cir, cer, cek! i odleciał. Fruwał z gałęzi na gałąź, dziobał korę, wreszcie znikł nam z oczu.

Przyszedłszy do domu, zaczęliśmy jedno przed drugiem opowiadać wszystkim o ptaszku.

— Dziobek ma cieniutki, jak igiełka; ogonek sterczy, jak szczoteczka — opowiadała Irenka.

— Nieprawda! ogonek jego okrągły, jak kwiateczek — zaprzeczyła Oleńka.

— Co za opis komiczny tego ptaszka! — zawołał Wicio. — Można co z tego zrozumieć!

— To opisz sam! — zawołałyśmy, obrażone.

— Dobrze, opiszę. Skrzydła ma krótkie, zaokrąglone, mocno wgięte, jedno pióro dłuższe, upierzenie czerwone z czarnemi pasami, dziób krótki, podobny do szydła, nóżki krótkie; długość ptaka wynosi nie więcej, niż długość palca.

Zdziwiłyśmy się ogromnie, iż Wicio potrafił tak dokładnie opisać ptaszka, ale nawet po tych objaśnieniach nie mógł ani ojczulek, ani mamusia odgadnąć, co to za ptaszek.

Coś w pięć dni po tem, ujrzeliśmy nasze maleństwo.

Siedział na złamanej brzozie, skakał, ćwierkał, wreszcie znikł w stosie chrustu. Na drugi dzień rano siedział znów na gałązce brzozy z drugą, większą, ale zupełnie takąż samą ptaszyną.

Ujrzawszy tę parkę, rzekli do nas rodzice: — To są pokrzywki, samiec z samiczką. Jest ich u nas bardzo dużo, nawet zimują.

Zakrólowało lato. Prześlicznie było w ogrodzie, kwitły kwiaty, drzewa pokryły się zielenią, dnie były ciepłe i jasne.

Ale my, dzieci, byłyśmy bardzo smutne; nie widać było nigdzie naszej przecudnej parki.

Ale po smutku prawie zawsze następuje radość. I z nami to się zdarzyło. Pewnego dnia bawiłyśmy się we dwie w krokieta, Wicio pojechał z tatusiem do miasta, gdy naraz wpadła Irenka i zadyszana od biegu i wzruszenia, zawołała:

— Ach! co ja widziałam, co ja widziałam! Chodźcie prędzej, siostrzyczki!

Pobiegłyśmy za nią. Stanęła za brzozą i pogroziła palcem, abyśmy zamilkły. To, cośmy ujrzały, było tak piękne, że Oleńka złożyła rączki, jak do modlitwy, a Irence łzy w oczach błyszczały.

Na grubym pniu starej brzozy wyrósł grzyb duży i jak kamień twardy. Grzyb ten pękł na połowę i z jego środka wyglądało pięć czarujących żółtych główek. Maleństwa piszczały żałośnie i otwierały dziobki, a na poblizkiej gałązce siedziały dwie, znane nam pokrzywki, każda z robaczkiem w dziobku.

Samiczka, ujrzawszy stojące koło drzewa dzieci, pisnęła ze strachu i upuściła robaczka.

— Nie bój się, ptaszyno, my ci nic złego nie zrobimy, — szepnęła Irenka . Usiadłyśmy na trawie, żeby nie spłoszyć ptasząt i serduszek ich nie napełniać trwogą.

Wróciwszy do domu, opowiedziałyśmy o naszem odkryciu, oczekując z niecierpliwością powrotu Wicia.

Zobaczywszy zajeżdżający powóz, rzuciłyśmy się na powitanie brata, wołając na wyścigi: — Ach! cośmy znalazły! cośmy znalazły!

Wicio wyskoczył z powozu i pędem pobiegł do ogrodu. Ujrzawszy domek z grzyba, dziwił się bardzo.

— Wiecie co, siostrzyczki, — mówił — musimy pilnować tego gniazdka i strzedz go przed złemi dziećmi... Nie opowiadajcie o tem nikomu.

Ale trudno było tego dokonać. Złych i okrutnych chłopców pełno jest na wsi. Na drugi już dzień nie było ani grzyba, ani naszych pisklątek. Źli chłopcy zabrali je i unieśli.

Trudno wyrazić nasz ból. Płakaliśmy, wyrzucając sobie, żeśmy nie wstali wcześniej, aby dopilnować gniazdka. Irenka padła na trawę i szlochała żałośnie. Wicio znikł gdzieś na pół godziny conajmniej, a gdy wrócił, miał czerwone opuchnięte oczy, widać, że gorzko płakał.

Nie mogliśmy patrzeć na starą brzozę z wyrzniętym grzybem, nie mogliśmy tamtędy przechodzić. Ból naszych serduszek był tak ciężki, że aż obawiano się o nasze zdrowie.

W końcu zrozumieliśmy, że żale i płacz nic nie pomogą, że trzeba działać. Daliśmy więc sobie słowo, że będziemy wstawali wcześniej, aby módz bronić i opiekować się niewinnemi ptaszętami — czego dotrzymaliśmy święcie.

Elwira Korotyńska.

Zosia i Jasia.

I.

Jedna ma oczka piwne,
Druga znów, jak bławatki,
Obie zaś oczkiem są w głowie
Tatusia, babci i matki.

Jedna ma piąty roczek,
Włoski obcięte na grzywkę
I mówi o kici, o lali,
O wszystkiem, jak pozytywka.

Druga już chodzi do szkoły,
na kicię, na lalę nie patrzy,
A kiedyś była z mamusią
Nawet w dziecinnym teatrze.

Ztąd między Zosią i Jasią
Niezawsze panuje zgoda,
Bo często Jasia do Zosi
Mówi: — Ty jesteś za młoda,

Jesteś zupełnie malutka
I musisz, jak ja, urosnąć,
A wtedy, pojmiesz dlaczego
Król Ćwieczek ożenił się z Wiosną...

II.

Jasia ma minkę buńczuczną,
Gdy Zosia od łez aż puchnie,
Bo Zosia ma tylko laleczkę,
Gdy Jasia — ogromną kuchnię.

Taką, na której, gdy zechce,
Może gotować odrazu
Dla wszystkich lalek na świecie
Pieczeń, rosołek i zrazy.

Do kuchni garnuszki, patelnie,
Czajnik, brytwanny, rondelki! —
Cóż więc dziwnego, że w Zosi
Żal rośnie mokry i wielki?

Cóż więc dziwnego, że z lalą
Poszła popłakać do kątka: —
Lala, stołując się w mieście,
Miała już katar żołądka!

I było trzeba od ojca
Pożyczać termometr z obsadki,
A od babuni czemprędzej
Kompres z bronzowej ceratki.



Rys. M. Wisznicki.

III.

Jasia kucnęła przy Zosi
I pyta z miną na serjo,
Czy lala lubi kurczęta
Z sałatką, czy też z mizerją.

Odrazu wyschły oczęta,
Bo tak — to zgodzić się można.
I Zosia zamawia dla lali
Ogromną pulardę z rożna.

Juljusz Wirski.

1500 - lecie.

Macie może lat 7, 9 lub 11. Jakże małą jest ta liczba, wobec tej, jaką w nagłówku postawiłam! Jakże tamta wydaje się olbrzymią! Tem bardziej zrozumiecie wielkość tego, który zmarł 1.500 lat temu — a pomimo to nie jest zapomniany. Żyje w niezliczonych księgach; w dziełach, tchnących głęboką wiedzą, pełnych genjuszu. Żyje na ołtarzach świata całego. Jest światłem, oświecającem do dziś umysły stanów i narodów. Jest jednym z filarów Kościoła powszechnego. Od piasków Afryki, — przez cały świat katolicki, rozbrzmiewa hymn pochwalny na jego cześć.

A dzieci cóż dać mają św. Augustynowi na jubileusz? Starsze z was już może w szkole uczyły się jego przedziwnej historji o Trójcy św., tak pięknie zobrazowanej przez dziecko-aniołka, kopiącego dołek nad morzem...

Dorośli całego świata wczytują się w jego nieporównane „Myśli", tak świeże, jakby dla dzisiejszego pokolenia były pisane, a nie przeszło półtora tysiąca lat temu!

Czyż można piękniej określić, co to jest Pismo święte? „Z krainy naszej niebieskiej odebraliśmy wieści radosne, wspaniałe listy; są to pisma święte, które nas nawołują, byśmy wiedli życie dobre. Lata i wieki przychodzą i mijają, a z niemi nadchodzą i odchodzą ludzie, lecz Pismo Święte pozostaje! Jest ono niejako drogowskazem Bożym, manuskryptem Boskim, który wszyscy w pielgrzymce życia swego doczesnego czytać powinni, by z drogi objawienia nie zboczyć. Jak dwa Serafiny w przedziwnej harmonji głoszą chwałę Najwyższego, według proroka Izajasza: „Święty, Święty, Święty jest Pan Bóg Zastępów" — tak Stary i Nowy Testament dźwięczą w zgodnej miłości na większą chwałę prawdy świętej. Głębokie tajemnice zawiera Pismo Święte. Ukryte są, aby nie zatraciły wysokiej wartości. Szukać się każą, by nas zapalić"...

A czyż ci, którzy idą przyjąć Pana Jezusa w Komunji św., znajdą piękniejsze przygotowanie nad to, jakie nam zostawił św. Augustyn? „Pozwólcie jej przyjść do mnie, a nie odpychajcie jej!" — albo: „Uczyniłeś nas dla siebie, o mój Boże! Ty, który jednem słowem uśmierzasz wściekłość morza, pójdź i chodź po falach serca mojego"...

Są jednak między wami i takie, które nie dorosły jeszcze ani do tych słów, ani do tego świętego aktu. Lecz i dla nich znajdzie się sposób uczczenia tego Ojca i Doktora Kościoła. Czy dużo jest dzieci w Warszawie, które znają kościół św. Augustyna? Nawiedźcie ten oddalony przybytek Pański, a nie pożałujecie trudu. Choć wzniesiony w najmniej pokaźnej dzielnicy miasta, na Nowolipkach, jest piękny i jedyny w swym rodzaju. Ma drugie wejście od ulicy Dzielnej. Postawiony w obszernym ogród-

ku, gdzie wita przychodnia śliczna statua Matki Bożej z chwytającym za serce napisem: „Wszystka piękna jesteś, przyjaciółko moja“... Nazewnątrz — kościół z czerwonej cegły. Niejedno z was mogłoby spróbować narysować go, z tą wysoką wieżą i łukami krużganków.

Wchodzimy... Niespodzianka! Wewnątrz cały biały. Ołtarz wielki — bielusieńki. Najświętsza Rodzina. Wokół złocenia. Anioły z bronzu złocistego grają na długich trąbach.

W bocznym ołtarzu w całej postaci, w szatach pontyfikalnych stoi przed nami św. Augustyn. Jest to jedyny ołtarz w Warszawie, temu świętemu poświęcony.

Tu już zostaniemy, bo wszak potośmy przyszli. Będziemy patrzeć na tę twarz przemądrą i przypomnimy sobie, co nam powiedział: „Któż uczyni człowieka szczęśliwszym, jeśli nie Ten, który go stworzył?!“...

Na kościół bije dziwny blask od bieli marmurów i złoceń, podniesiony żółtą jasnością witraży, która idzie górą ponad wszystkie nawy i wytwarza pełne zaziemskiego spokoju światło. Czujemy wtedy dobrze, co święty chciał powiedzieć, gdy mówił do Chrystusa: „Tyś jest ukochaniem mojego serca...“

Resztę, jak krzyżyk elektryczny ponsowy, zapalony przed św. Augustynem stale na ołtarzu, jak Matkę Boską Kodeńską — obejrzycie sobie sami i powiecie wtedy, czy nie miałam racji, skierowując waszą przechadzkę wiosenną w tamte strony.

A teraz — słyszałam, że niejedno z was się skarży, iż po wyjściu ze szkoły woli wracać do domu, niż iść na spacer, bo spacery — nie ciekawe i nic w Warszawie niema do zobaczenia.

O, cóż za wielką czynicie sobie krzywdę! Żebym ja tylko tyle czasu miała, ile rzeczy jest godnych widzenia w naszem kochanem mieście!

Wskazałam wam wyżej jeden nadzwyczaj ciekawy spacer. A jeszcze, zanim będzie można biegać po ogrodach i parkach, zajdźcie na ulicę Chłodną zobaczyć kościół św. Karola Boromeusza. Zachwyci on was. Na spotkanie wasze wyjdzie dwudziestu świętych polskich, których kochacie z historji ojczystej. Naokoło kościoła stoją długim szeregiem, wmurowani we framugi po dwóch stronach, wszyscy ci, o których najpierw słyszeliście, po imionach ojca i mamy, babci i dziadzi. Przywitają was ci, z którymi żyliście się od zarania dni waszych. Więc św. Wojciech z pastorałem, z dwoma palcami, wyciągniętemi nad wasze główki, pobłogosławi was na pracę dla ojczyzny. Dalej św. Kinga i Salomea, św. Kazimierz z lilją w ręku, i św. Jan Kanty — a u nóg jego dzbanek stłuczony, który, po uczynieniu znaku krzyża, oddany został w całości na rynku krakowskim biednej włościance. I św. Florjan, co chciał sam z rzymskich katakumb iść do Polski, i św. Wincenty Kadłubek, co zdjął infułę biskupa krakowskiego z głowy i trzyma ją w ręku, bo rzucił wspaniały Wawel dla zacisza klasztoru w ubogim Jędrzejowie. I św. Szymon z Lipnicy, co w nagrodę „za habit gruby, weiniany, cały światłością odziany“. I św. Jan z Dukli, patron Lwowa...

Imiona innych przeczytacie sobie sami, wyryte tam na murze, i sądzę, że będzie to ulubiony spacer dzieci polskich do naszych świętych.

Tak samo czasu niewoli ulubionym był spacer na Daniłowiczowską, do królów polskich, na gmachu dawnej bibljoteki Załuskich. Ile tam myśli i uczuć się rodziło! Ale rosyjski policjant pilnował; można było tylko ukradkiem na nich spojrzeć.

Kochany Kazimierz Wielki i Zygmunt August! Jakże spieszyć było trzeba, by ich w szeregu wyszukać; na patrzenie już tak mało zostawało czasu! Dziś tylko od waszej woli zależy, ile będziecie chcieli tam przebywać. Niejedną myśl zacna może wam tu przyjść do głowy, niejedna myśl obywatelska... Gdy zobaczycie zdala wysoką wieżę straży ogniowej, wiedzcie, że to już blizko.

Dla objaśnienia dodam, że św. Karol Boromeusz — to był sławny arcybiskup medjolański, którego Polacy tak umiłowali, że mu aż dwa wznieśli kościoły w Warszawie. W wielkim ołtarzu na Chłodnej jest ciemny obraz, przedstawiający go, jak uzdrawia chorego.

Nie zapominajcie podnieść łepetynek do góry i przeczytać na frontonie kościoła tych pięknych słów: „Świętemu Karolowi Boromeuszowi — sława!“ Nie wątpię, że będzie to nietylko interesujący dla was spacer, ale że i wy przyczynicie się do sławy świętych polskich, którzy będą pewnie bardzo radzi odwiedzinom polskich dzieci.

Marta Mrozowska.

W naszym ogródeczku

W naszym ogródeczku
wielkie dzisiaj święto:
Przyjechała Wiosna
z twarzą uśmiechniętą.

Przyjechała Wiosna
w poszóstnej karecie,
Z wierzbowych gałązek
warkoczyki plecie.

Wierzbowe fujarki
marsza jej zagrały,
Wnet się zazielenił
ogródeczek cały.

Zdjęła Wiosna z głowy
kwiecistą koronę,
Listki z niej obrywa,
z dziećmi gra w zielone.

A wiosenne słonko
złote blaski nieci,
I zapala radość
na twarzyczkach dzieci

Zdzisław Jegliński.

Przygoda Zosi - Afrykanki.

(Ciąg dalszy.)

— I myślisz może, że ma w sobie coś nadzwyczajnego?... Bynajmniej! Nie lubię się przechwalać, ale mam ogon conajmniej o pół cala dłuższy, niż on, nie mówiąc już o tem, że mienię się bez porównania ładniej. Ale wszystko zależy od trafu. Poszczęściło mu się zapoznać z panem, który, łapiąc motyle, zarzucił przypadkowo siatkę wprost na niego, no i w ten sposób się zbliżyli. Tak był uderzony powierzchownością mego stryja, że go zabrał natychmiast do pudełka i zawiózł do miasta. Bylibyśmy o nim nigdy się nie dowiedzieli, gdyby nie moja ciotka, która ma w mieście znajomego szczura. Wprawdzie, musi dlatego zakradać się aż pod miejskie mury, ale ponieważ my, kameleony, jesteśmy niełatwi do zastraszenia, więc...

Tu nagle kameleon zżółkł, jak cytryna i zanimby kto zdążył mrugnąć, znikł w dziupli drzewa. Jednocześnie w powietrzu mignęło coś długiego i na gałąź wskoczył kot, zupełnie na to samo miejsce. Nie zastawszy kameleona, miał przez chwilę minę zaskoczoną. Obwąchał dokładnie gałąź, poczem z wyraźnem niezadowoleniem wygiął grzbiet, podnosząc ogon sztywno w górę, i ukośnie zerknął zielonemi ślepiami ku zdziwionej Zosi.

— Myślałem, że chociaż na to będziesz zdatną!... — mruknął z przekąsem. — Widzę jednak, że potrafisz tylko odejmować komuś należną mu porcję mleka, zamiast umieć zapolować samej, a przynajmniej dopomódz w tem innym!

— Kiedy nie wiem, o czem kot mówi?... — spytała, jak umiała najpotulniej, Zosia. — Duży, czarny kot ją przestraszał, tembardziej, że czuła jego gniew za to, że pobożna pani dla niej uszczupliła jego jadło. — Jeżeli o kameleonku, to starałam się być dla niego bardzo grzeczną!...

— Grzeczną!... — przedrzeźnił opryskliwie kot. — Ładna grzeczność, jeżeli nie potrafiłaś ani na sekundę zatrzymać na sobie tych jego głupich różnobokich oczu! Toby mi najzupełniej wystarczyło na nawiązanie z nim stosunków dyplomatycznych! Dawno już się chciałem z nim zapoznać bliżej!

— O! Nic o tem nie wiedziałam, proszę kota!... — zmartwiła się szczerze Zosia. — To kot również lubi kameleonka? Czy tak?...

Kot zmrużył oczy i rozkosznie wygiął grzbiet.

— Czy lubię kameleonka?... — mruknął, puszczając sierść. — Hm!... I bardzo! Zwłaszcza od ogona!...

Zosia zdziwiła się bardzo, gdyż, jakkolwiek miała już lat blizko sześć, wcale nie zrozumiała, jak to można lubić kogoś od głowy, lub od ogona? Nie chciała się jednak pytać, aby nie powiedzieć czegoś niepotrzebnego. Kot tymczasem zebrał się w sobie, rozprężył i, skoczywszy wprost Zosi na parapet okna, zajął się swoją toaletą. Koty wogóle są dbałe o wygląd i ochędóstwo, ale te, które należą do pobożnych pań, dbają o to dwa razy tyle, niż zwyczajne.



Rys. M. Wisznicki.

Nie tracił jednak czasu i, myjąc się naprzemian każdą łapką, obmyślał co do Zosi pewien plan, i to bardzo chytrze. Gdyż na żaden sposób nie chciał się zgodzić, aby porcja mleka i zupy, jaką dostawał dotąd, miała, za jej przyczyną, stać się mniejszą.

— Widzę jednak, że robota ci idzie jakoś nie tęgo!... — zaczął nareszcie, gdy już dokładnie obmyślił, co należy powiedzieć. — Uprzedzam cię jednak, że z naszą panią niema żartów! Wyrzuci cię za drzwi na całą noc i będziesz musiała spać na gałęzi, aby cię nie rozdarł szakal albo hjena, które podchodzą do fermy po nocach. Możesz się wprawdzie zakraść przez komin, ale, zdarza się, że czarna Mummi zostawia w piecu żarzące węgle i wówczas można się spalić, że aż miło! Oho!...

— O!... — potrafiła tylko wymówić przerażona Zosia. — Na gałęzi?...

— Tak jest! Ale, jeżeli sądzisz, że na gałęzi jest to bardzo bezpiecznie, to się mylisz. Nie dalej, jak mój cioteczny wuj, lampart, lubi tam po nocy zajrzeć za zwierzyną. O! z tym, to ci szczerze nie radzę spotykać się, jakkolwiek jest to mój blizki krewny!

— O, nie chciałabym!... — gorąco zapewniła Zosia. — Chociaż, jeżeli jest krewnym kota, to możebym go poprosiła, aby mnie nie zrobił nic złego?

— Wątpię, wątpię!... — rzekł wymijająco kot. — Dziś na pokrewieństwo nie zwraca się już niemal uwagi. A tymczasem, jest to ważna rzecz. Ja, naprzykład, przez tygrysa i panterę mógłbym z łatwością wykazać się kuzynem, samego płowogrzywego. Ale nie jestem wcale psotny, chociaż mam dużo ambicji. Właśnie dlatego też nie nadeptuję bogatym krewnym na ogony. Przez to stosunki z rodziną mam nieco naprężone, zwłaszcza, że szakal obszczekuje mnie przed płowogrzywym i resztą, jak może, dowodząc, że zaprzedałem się ludziom. Ha! Trudno! Od tego jest szakal, aby szczekał. Jest zwykłym, ordynarnym pieczeniarzem, który zawsze śpiewa w ton płowogrzywemu, aby wyżebrać w ten sposób jaki ochłap z jego stołu. A ja ci powiem, że jest to nic, tylko zazdrość! Zazdrość! I jeszcze raz: zazdrość!...

Tak opowiadając, kot o tyle się przejął własnemi dziejami, że sierść mu się na grzbiecie zjeżyła, a oczy zaczęły się mienić w żółte błyski.

— Tak, tak! To się właśnie nazywa rodzina. Sami najmniejszą przysługę uważają za dobrodziejstwo, ale skoro zobaczyli, że się zabezpieczyłem bez ich pomocy i myślę o wiele lepiej od nich, są oburzeni! Nie dalej, niż tydzień temu, próbowałem nawiązać stosunki; udałem się do lasu, wykradłszy się okienkiem od piwnicy. Mieszkają tam moi bracia, moi rodzeni bracia. Cóż myślisz! Wróciłem, mając przetrąconą nogę i skaleczone oko, nie wypominając tego wszystkiego, czego zmuszony byłem wysłuchać od mojej pani. Na szczęście, zdrzemnąłem się, zanim skończyła i obudziłem się dopiero, gdy nareszcie zdecydowała się nalać mi mleka, coby powinna była zrobić na początku. A właściwie, przecież z jej powodu poróżniłem się z rodziną! I to o co! O ten dach nad głową, gdzie jest tyle dobrego, że się jest pewnym życia i o tę trochę strawy! Phi! Nie takie znów wielkie rzeczy! A ile za to przykrości! Ile przymusu i nudy! Nie mówiąc już o tem, że moja pani jest bardziej skąpa na jadło, niż hyena, do której jest nieco podobna, a głosem przedziwnie przypomina szakala. Już to jedno może szanującemu się kotowi obrzydzić życie! Brr!... Przyznam się nawet, że raz już ztąd uciekłem!...

Tu kot spojrzał z pod oka na Zosię, chcąc zbadać, jakie ta wzmianka zrobi wrażenie. Zosia aż wypuściła szydełko.

— Uciekłeś ztąd!... — rzekła z uwielbieniem. — O! Jakże jesteś mądry i odważny!...

— Ja myślę!... — rzekł z godnością kot. — Że nie należę do tchórzów, to pewno! Ale co to ma znaczyć ta zastawa na stole?... Mleko, szynka, ciasto, tyle pysznych rzeczy! Ciekaw jestem, dla kogo to ma być?

— T. dla mnie! — rzekła drżącym głosem, łykając ślinkę, Zosia. — Mam to zjeść, o ile skończę robotę przed obiadem. Nie wiesz, jak prędko będzie obiad!

— Niezadługo! — objaśnił ją kot. — Słońce zrana oświetla okno, na którem stoi pusta klatka, zaś w obiad przechodzi na to, przy którem obecnie siedzimy. Teraz już mu zostaje do okna kawałeczek nie dłuższy nad mój ogon.

— O Boże, to już prędko! — przeraziła się Zosia. — A ja mam dopiero zrobioną mniejszą połowę pierwszego pantofelka. Co teraz zrobię? Co zrobię...

Tak właśnie powiedziała: — „mniejszą połowę“, chociaż połowa tem się właśnie odznacza, że nie może być ani mniejsza, ani większa, tylko zawsze jednaka z drugą. Kot jednak na tę nieścisłość nie zwrócił wcale uwagi, gdyż był zajęty swoim własnym zamiarem co do Zosi, tem bardziej, że szynka mu pachniała nadzwyczajnie.

— Co zrobisz?... — rzekł, wskakując na obrus, ażeby obwąchać specjały zblizka. — Hm! Jabym na twojem miejscu dobrze wiedział, co zrobię! Najpierwbym zjadł wszystko, co tu jest na stole, a potembym uciekł na pustynię! Takby uczynił każdy prawdziwy kot!

— Och!... — zawołała Zosia i nawet złożyła ręce. — Gdybym tylko wiedziała, jak! Mój tatuś jest także na pustyni! Pewniebym go spotkała, o Boże!... Jak by to było dobrze! dobrze! dobrze!... Byłabym znowu jego małą, kochaną córeczką!

— O, z pewnością! — rzekł kot, nie spuszczając z oka szynki. — W pustyni jest tak pusto, że nic trudnego się odnaleźć. Nadto, muszę cię uprzedzić, że z naszą panią żartów niema! Za najmniejsze uchybienie wrzuci cię do piwnicy ze szczurami tak olbrzymiemi, że bez najmniejszej trudności mogą ci odgryźć ogon. Albo znów zamknie do zagródki z nosorożcem, gdzie musisz wisieć, jak nietoperz pod pułapem, aby cię to obrzydliwe zwierzę nie stratowało i nie rozpruło swym rogiem. Tak, tak! To wcale nie są rzeczy miłe! A wiele będziesz musiała znieść plag, zanim się nauczysz nie wskakiwać na stół podczas obiadu, a zwłaszcza, odróżniać dywan w salonie od zwyczajnego trawnika!

Zosia miała wprawdzie niecałe lat sześć, mimo to jednak, na obrus nigdy nie wskakiwała i najgorszy nawet dywan od najlepszego trawnika odróżniłaby nieomylnie. Ale myśl o tem, że wrzucą ją do piwnicy ze szczurami, napełniła ją strachem niewypowiedzialnym. Cóż dopiero wzmianka o nosorożcu? Było to tak okropne, że nie mogła się nawet w myśl tę wgłębić. Kot zaś tymczasem mówił dalej:

— Ale najgorsze, gdy cię zechce ukarać głodem. Wtedy zamyka wszystko na klucz i na jakieś trzy dni nie masz na wyżywienie nic, prócz myszy!...

Małe dziewczynki potrafią, podobno, czasem jeść kredę, papier i ołówki; ale myszy jeść nie potrafią nawet w najgorszej ostateczności. To też sama myśl o tem była dla Zosi zbyt okropna. Zerwała się z krzesełka i zaczęła zgarniać w fartuszek, leżący na krześle orzech kokosu, usiłując przytrzymać uciekające jej rogi.

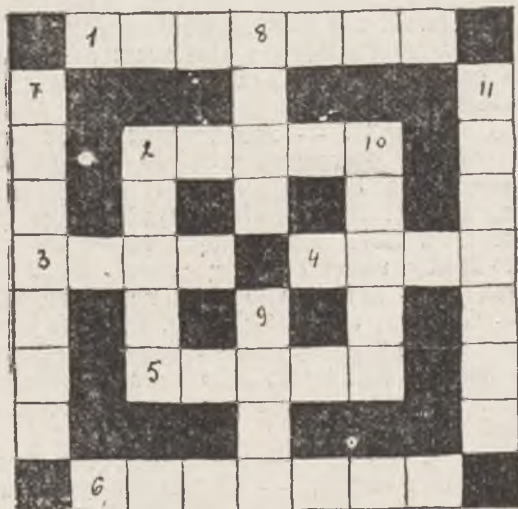
— Uciekajmy, oh!... Uciekajmy!... — błagała kota. — Boję się myszy tak strasznie, że jakżebym mogła je jeść?... Wolę uciec i umrzeć na pustyni z głodu, albo niech mnie zje słoń! O!... Nie zostanę tu za nic, za nic! Ale jak uciec, skoro drzwi zamknięte są na klucz?...

(D. c. n.) **M. H. SZPYRKÓWNA.**

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

KRZYŻÓWKA

układu Januszka i Krzysi Bednarczyków w m.



Znaczenie wyrazów.

Poziomo: 1) Roślina rosnąca nad wodą. 2) Fantastyczna opowieść. 3) Część należności. 4) Obszar porośnięty trawą (na Ukrainie). 5) Miasteczko w Polsce. 6) Instrument muzyczny.

Pionowo: 2) Miasto na Śląsku Opolskim. 7) Kierujący okrętem. 8) Część świata. 9) Opad atmosferyczny — wspak. 10) Kwiaty. 11) Góry na pograniczu Polski.

Objaśnienie: Wyrazy poziome Nr. Nr. 1 i 6 oraz pionowe 7 i 11 mają po siedem liter. Wyrazy poziome Nr. 3 i 4 oraz pionowe Nr. 8 i 9 — po cztery litery i wreszcie wyrazy Nr. Nr. 2 i 5, poziome, oraz 2 i 10 pionowe posiadają po pięć liter.

H. P.

ZAGADKA.

Zagadki sens włóż w drzewa,
Co słyną z kwiecia woni,
A dusza Ci wyśpiewa
To, za czem myśl Twa goni.

Henryk Pianowski.

Termin nadsyłania rozwiązań — obydwu zadań — 14-to dniowy.

Rozwiązanie zadań, umieszczonych w N-rze 58 „Kurjera Warszawskiego — Dzieciom".

1) **Zagadki:**

KOGUT, OSIOŁ, PIES, KOT.

2) **Rebusika:**

KARNAWAŁ.

Dobre rozwiązanie obydwu zadań nadesłali: Januszek i Krysia Bednarczykowie, Wandeczka Borkiewiczówna, Ania Jabłkowska, Zdziś i Danusia Kamieńczakowie, Jurek Kociubiński, Jerzy i Jaś Kronigkeitowie, Jędruś Majewski, Jacek Małecki, Stefek Miłosz, Władzio Okęcki, Haneczka Pągowska, Władzio Pozner, Władzio Podlewski, Z. Sobotkowski, Ira i Hala Vetterówny, Tad. Wąsik, Halusia Wiącek, Modzia Zaleska i Jan Zarański — wszyscy z Warszawy, oraz z poza Warszawy: Joasia Modrzejewska z Lublina, Jurek Gadomski z Makowa maz., Zosia Staniszewska z Makowa maz., Zik Denasiewicz i Czesław Dirycz z Drohobycza, Ninka Psarska z Borysławia, Wandzia Penkalówna i Marysia Maciejko z Gąbina, Krysia Ibiańska z Żyrardowa, Tadzio Nowakowski z Ostrowi Maz., Niunia Włodykówna z Kołodziąża, Wandzia Naczasówna z Nowego Miasta n/Pilicą, Basia Wróblewska z cukr. „Marja" w Sójkach, Tadzio i Jędruś Pieńkowscy z cukr. „Chełmica", Kaz. Czarkowski z Szepietowa i Jadzia Luchtówna z Lipowca Kościelnego.

Tylko same zagadki odgadli: Ala Kucharska z Piastowa i Hanusia Willówna z Pruszkowa.

Tylko sam rebusik odgadła Jadzia Dąbrowska w/m.

Nie możemy wyjść z podziwu, dlaczego nadesłano tym razem tak znikomą ilość rozwiązań, mimo, że zadania daliśmy bardzo łatwe. Czekamy odpowiedzi naszych miłych czytelników, czy są za łatwemi, czy też za trudnemi zadaniami.

Nagrody za dobre rozwiązanie otrzymują drogą losowania:

Januszek i Krysia Bednarczykowie, Ania Jabłkowska, Jurek Kociubiński, Stefek Miłosz, Władzio Okęcki oraz Ira i Hala Vetterówny — wszyscy z Warszawy. Z poza Warszawy: Wandzia Penkalówna z Gąbina, Zosia Staniszewska z Makowa Mazowieckiego, Ninka Psarska z Borysławia i Tadzio i Jędruś Pieńkowscy z cukr. „Chełmica".

Nagrody wydaje codziennie, za wyjątkiem niedziel i świąt, sekretarjat redakcji w godzinach 11—2 po poł.

ODPOWIEDZI DZIAŁU ZADAŃ.

Stenia Berinżanka w Łęczycy. Zagadka „Panorama" dobrze rozwiązana. Jak na swoje siedem latek, stawiasz, dziecinko, bardzo zgrabne literki. Rozwiązuj zadanka dalej, a może los Ci wyznaczy jaką ładną książeczkę w nagrodę. Za ukłony dziękujemy i pozdrawiamy Cię wzajemnie, kochana Steniu, z całego Serca!

Tadzik Białoskórski we Włocławku. Nagrodę za listopad wysłaliśmy. Żądanego adresu, niestety, nie posiadamy.

Jasio Will w Pruszkowie. Rebusik dobry. Pójdzie w lutym.

Januszek i Krysia Bednarczykowie w m. Krzyżówka b. starannie wykonana. Pójdzie w lutym.

Stefan Kolasiński w Reszkach. Rozwiązałeś tylko zagadki, zaś logogryfu nie i mimo tego upominasz się o nagrodę. Zechciej, kochany Stefanku, zwrócić uwagę, że przy ogłaszaniu nagród zaznaczamy wyraźnie: „nagrody drogą losowania", czyli, że nagrody my nie wyznaczamy, lecz los rozstrzyga.

Zoruchna w Kutnie. Rozwiązań bez nazwisk nie umieszczamy.

Janusz Skoszkiewicz w Rytwianach. Trudno, mój Januszku... wszystko na świecie ma swój początek i koniec, ten sam więc los spotkał i piękną powieść „Czaora", ale nie smuć się, a znajdziesz nową powieść już w styczniowym numerze. Co do nagrody, odpowiem Ci to samo, co i Stef. Kolasińskiemu.

T. Mojkowskiemu w Łomży. Logogryf nie pójdzie.

Edm. Nowacki w Zawierciu. Logogryf rozwiązany bezmyślnie.

Wszystkim kochanym czytelniczkom i czytelnikom, którzy nadesłali życzenia świąteczne i noworoczne, przesyłam najserdeczniejsze słowa podzięki.

Marysi Piławskiej w Widzach Wil. Dziękujemy Marysieńce wszyscy za życzenia i wzajemnie je przesyłamy.

Wandzi Penkalównie w Gąbinie. Zadanko niezłe, ale nieco bezładne. Prosimy o staranniejsze, a postaramy się umieścić.

Jerzyk Jodłowski w m. Drogi Jerzyku, możemy Cię zapewnić, że nie umieszczamy tylko takich rozwiązań, których nie otrzymaliśmy.

Haneczka Wasiewiczówna w Opocznie. Cieszy nas, że informacja nasza może się na coś przydać. Rebusik niezły i może kiedyś z niego skorzystamy.

Wandzia Marszycka z Dołhobyczowa. Szaradka dobrze pomyślana, lecz, niestety, posiada nieprawidłowy podział zgłosek. Szaradę o podobnej treści rozwiązania, lecz prawidłową — zamieszczamy dziś. Czekamy na następne prace Wandzi, a chętnie umieścimy, o ile będą odpowiadać wymaganiom.

H. P.

W drukarni „KURJERA WARSZAWSKIEGO", Krakowskie Przedmieście № 40.

Redaktorowie naczelni: **Ferdynand Hoesick i Konrad Olchowicz.** Wydawcy: **Feliks Mrozowski i Konrad Olchowicz.**